



O elfach, krasnoludach i zwyczajnych ludziach

Fahrenheit Crew



Eleonora Ratkiewicz

Tae ekkej!

Tłum.: Ewa Białołęcka

Fabryka Słów 2011

Stron: 357

Cena: 36,75 zł

Bohaterami książki Eleonory Ratkiewicz „Tae ekkej!” są dwaj młodzieńcy pochodzący z odmiennych, nazwijmy to, narodów (słowo „gatunków” w tym kontekście wydaje mi się nieadekwatne), czyli człowiek, książę Lermett, i elf Enneari, również książę. Dzięki zrządzeniu losu ich ścieżki się krzyżują – człowiek ratuje elfa przed niechybną śmiercią w górach. Jako że przedstawiciele obu nacji, elfickiej i ludzkiej, niezbyt za sobą przepadają, książę-elf uznaje, że tym samym ma do spłacenia dług. Oferuje Lermettowi swoje towarzystwo i pomoc przy wykonaniu delikatnego i niebezpiecznego zadania, jakie musi wykonać książę-człowiek. I taki jest początek.

A co dalej? W miarę przewracania kolejnych kartek nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przepiękny, baśniowy entourage oraz podział na nację ludzką i nieludzką – aczkolwiek urocze i podane z wielkim smakiem – nie mają najmniejszego znaczenia. Że równie dobrze bohaterami mogliby być wsiowy i miastowy, biały i Murzyn, heteryk i gej, mięsojad i wegetarianin. I im bardziej zagłębiałam się w tekst, tym moje oczarowanie było coraz większe.

Pewne rzeczy łatwiej jest przelknąć, jeśli autor podaje je odziane w fantastyczną koszulkę. Obaj młodzieńcy rozpoczynają wspólną wędrówkę pełni olbrzymiego wzajemnego niezrozumienia i równie wielkiego uprzedzenia. To, co wiedzą o narodzie towarzysza, stanowi składankę stereotypów, babskich mądrości i nie do końca prawdziwych opowieści. Lermett i Enneari popatrują na siebie z

dystansem, lecz dystans ten jest pochodną nie ich wzajemnych relacji, lecz braku zrozumienia. I kiedy w miarę upływu czasu poznają się lepiej, zaczynają się zaprzyjaźniać. Pomimo różnic i uprzedzeń, a także mitów i podań, jakim do tej pory ochoczo dawali wiarę.

Autorka w cudownie prosty sposób potrafiła podać przykłady przyczyn owych ludzko-elfickich nieporozumień. Ranny Ennari zażądał lusterka. Jaka myśl automatycznie nasuwa się Lernetowi? Że elf jest tak próżny, że nawet chwilę po wyrwaniu się śmierci musi podziwiać swoją urodę. Otóż nic z tych rzeczy, on mierzył elfa ludzką miarą, a to ostatnie, co powinien był zrobić; lusterko służyło Ennariemu do czegoś absolutnie innego i w danej sytuacji było niezbędne. W podziękowaniu za uratowanie życia Ennari proponuje Lernetowi, by zwracał się do niego imieniem Arien, zarezerwowanym dla przyjaciół. I gdy powodowany ludzką grzecznością i zbiorem reguł dobrego wychowania człowiek wzbrania się przed używaniem szczególnego imienia, nie zdaje sobie sprawy, że właśnie wyrządził towarzyszeni koszmarny afront. Inny przykład: Ennari zachwyca się strojem Lernetta, jego krojem, obszywkami, materiałem i barwą. Lernet jest zwyczajnie skrępowany, przecież ma na sobie zwykłe codzienne ciuchy... i nie podejrzewa, że to, co uważa za trywialne i niewarte wzmianki, dla przedstawiciela innej nacji może być pełne wyrazu, podtekstów i ukrytych znaczeń.

Nie przepadam za tradycyjną fantasy. Elfy, krasnoludy, czarodzieje i smoki męczą mnie i nużą. Ale wszystko, jak widać, zależy od myśli przewodniej i sposobu podania. W „Tae ekkej!” jest to, za czym nie przepadam. A jednak. A jednak łykałam stronę za stroną, a kiedy przeczytałam ostatnie zdanie, żałowałam, że to już koniec. Dlaczego?

Bo książek o poznaniu obcych nigdy nie mam dość. Bo cenię literaturę opowiadającą o szczerzej przyjaźni. A nade wszystko lubię czytać o zacieraniu nieporozumień wynikających z niedoinformowania. I to wszystko znalazłam w powieści Eleonory Ratkiewicz. I tak bardzo przypadło mi do gustu, że kontynuację historii, zapowiadaną na ten rok „Lare-i-t’ae” chcę dostać w ręce już, w tej chwili, natychmiast.

Hanna Fronczak